

...SPORT BRYDŻOWY? BRYDŻ SPORTOWY? .82

*S*am zacząłem zgłębiać arkana trudnej sztuki brydża dosyć późno, bo dopiero w 1955 roku, w czasie praktyki wakacyjnej w Fabryce Aparatów Chemicznych, w Nysie. I to zupełnie przypadkowo.

Trzech grających już w brydża moich kolegów, praktykantów tak jak ja, w tym dwóch braci – Jacek i Tomek, z którymi utrzymywałem jeszcze przez długie lata przyjacielskie kontakty, potrzebowali „czwartego”. Brydżyści wiedzą dobrze, co oznacza katastrofalny brak czwartego, więc nie muszę tego objaśniać, bo dla niebrydżysty i tak byłoby to absolutnie niezrozumiałe. Krótko mówiąc, nie mając żadnych widoków na znalezienie jakiegoś „obuczonego” brydżysty, byli zmuszeni zrobić ze mnie, zwolennika sportu na świeżym powietrzu, pseudosportsmena zamkniętych sal. Bowiem sport ten wymaga od swych adeptów, a było ich i jest niemało, gromadzenia się w pomieszczeniach zamkniętych, często pełnych dymu, gdzie atmosfera pełna napiętej kurtuazji pozwala jedynie na wymianę myśli, regulowaną przez ściśle respektowany kod powtarzających się ciągle tych samych formuł.

Przytoczę tu jednak, dla niebrydżystów, gdyż tacy podobno też bywają, jeden realny przykład rozdania kart, ze skryptem towarzyszącej mu wymiany kodów między czwórką graczy tworzących „minimalny zestaw brydżowy” (stąd ten specjalny problem czwartego!):

- *Jedno karo, jeden pik, jedno bez atu, trzy piki,*
- *Pas, cztery piki, kontra!*
- *Pas, pas, pas.*

Cichy szelest kart, rozkładanych na stole przez trzypikowego partnera i coraz szybsze „posapywania” mającego rozgrywać grę czteropikowca, w miarę jak odkrywające się karty pokazywały mu ich „siłę”, i (podaję tekstem odkrytym, gdyż gracz z niezrozumiałej przyczyny nie użył kodu): „*Potrójny bałwanie, z tym zerem w karcie dajesz mi forsing na trzy piki???*” Odpowiedź w skrypcie nie była niezbędna, gdyż pokazane 13 kart wystarczająco jasno informowały wszystkich, że trzypikowiec zagalopował się mocno i pewna wpadka bez dwóch po partii kosztowała tylko pięćset punktów. Drogo!

Trzy tygodnie intensywnego treningu wystarczyły na „sformatowanie” w mojej świadomości pewnika, że w brydża umiałem już grać. Toteż gdy wkrótce po wakacjach, po zakończeniu jakichś rozgrywek w YMCA,

trzech niezapomnianych mi trenerów: Lolek Michniewski, Jacek Busz i Janusz Krzyżanowski, po wstępnym ustaleniu ze mną, że ja: „*Ależ oczywiście... gram... no, tak sobie!*” zaproponowało mi, z braku czwartego, spędzenie nocy przy brydżu u jednego z nich, zgodziłem się bez zastanawiania. Czułem się zaszczycony, że znani trenerzy wzięli mnie do swego, trochę zamkniętego klubiku miłośników brydża. Byłem początkujący, ale wiedziałem, że już „czułem kartę” i na pewno grając w „kółeczku”, nie poddam się łatwo. Stawka od punktu wśród „zabijaków” brydżowych była dziesięć razy wyższa niż ta, którą ustalili „bosi”, biorąc pod uwagę mój młody wiek, brak dużego doświadczenia brydżowego i mój zawód studenta. Tym niemniej, była ona po gazecie od punktu, czyli po złoci-szu, co dla mnie z kolei było dziesięć razy więcej niż stawki w naszych grach wakacyjnych. Robiąc minę właściciela budki z lodami przy ulicy Hożej (była ona prywatna, więc dochodowa), zaakceptowałem propozycję stawki bez dyskusji.

Gdy następnego dnia o 7 rano wychodziłem po nieprzespanej nocy z kart, czułem się lekki i zadowolony w blasku wschodzącego słońca i w podmuchach orzeźwiającego wiatru. Lekki, bo wszystkie moje pieniądze, które miałem „przy duszy” oddałem innym, a zadowolony, że współpartnerzy zaufali mi dać tygodniowy kredyt dla spłaty reszty pieniędzy, które byłem im jeszcze winien. W sumie „przepuściłem” w ciągu 10 godzin gry dwumiesięczną wysokość, już dobrze odchudzonego ostatnimi wyczynami egzaminacyjnymi mojego stypendium. Tym niemniej dżentelmeńską propozycję rewanżu, zrobioną mi przez partnerów, odrzuciłem grzecznie, lecz stanowczo. Wspomnienie bowiem o butach z odpustu stało się mi, z wielką wyrazistością przed oczami, w odpowiednim momencie.

Powracając do pasji brydża, która szalała w naszej drużynie, właściwie powinienem dodać, że ten nałóg opanował nie wszystkich, a tylko czterech z pierwszego zespołu, którzy dzięki intensywnemu trenowaniu w miejscach gdzie się dało, dosyć szybko osiągnęli dobry poziom. Tym niemniej, brydż w naszej drużynie miał równe prawa jak siatkówka i czas na jego uprawianie musiał się zawsze znaleźć. Dochodziło do tego, że po przyjeździe na miejsce zawodów i zakwaterowaniu w jakimś przeważnie drugorzędnym hoteliku, cały pozostały wolny czas naszego pobytu był poświęcany „ostremu strzelaniu w brydża”. Nie sposób tutaj nie wymienić moich dobrych kolegów i stałych partnerów brydżowych, takich jak: Jurek, Krzysiek, Mundek i dwie „papużki nierozłączki”, czyli stryjostwo Ala i Kazio. Była to para o wyglądzie zewnętrznym trochę specjalnym. Ona niewielka, ruchliwa, drepzcząc małymi kroczkami, starała się ciągle nadrabiać swoje półmetrowe opóźnienie za swym mężem-goliatem, któ-

ry maszerując szybko krokami zatrzymywał się często, by sprawdzić, czy kontakt wzrokowy z Alą jeszcze się nie zerwał. Stryjo ze swoim orlim profilem przypominał aż do złudzenia wielkiego wodza Siuksów przebranego na krótko w cywilny strój.

W brydża grali zawsze w parze, co często prowadziło, nazwijmy to, do różnicy zdań, a niekiedy nawet ta różnica stawała się ostra. Stryjo, w porównaniu do Stryjenki, w brydża grał słabo, ale był przekonany, że jest odwrotnie, toteż gdy tylko karta była dla nich nieprzychylna i ich para, co zdarzało się często, zaczynała „nadstawiać pleców”, zachowanie jego ulegało zmianie według ogólnie znanego schematu. W czasie licytacji, gdzie poza kodem inne uwagi są zakazane, Stryjo zaczynał się kręcić na krześle w oczekiwaniu na wejście Stryjenki w licytację, a gdy ono nie było takie jakiego oczekiwał, zaczynał nerwowo składać i rozkładać karty trzymane w rękę, postukując nimi coraz silniej po stole. Po zakończeniu licytacji, jeśli ta według niego poszła zdecydowanie w złą stronę i po rozłożeniu na stole kart swojej partnerki, Stryjo podnosił się nagłym ruchem i tu, w zależności od stopnia niezadowolenia, kilka wariantów było możliwych. Albo usiłował przedrzeć karty, które trzymał w rękę, albo po zebraniu kart na stole otwierał okno i próbował je wyrzucić, opóźniając jednak fatalny gest tak, by inni mogli mu w tym przeszkodzić, albo po refleksji mówił: *„Kart nie wyrzucę, bo nie mamy drugich, ale ciebie Aluuuśka... to mi chociaż ulży!”*; ponieważ fizycznie mógł to uczynić bez wysiłku, pozostali gracze chwyтали go za ręce, za ramiona tak, by mu od nowa nadać pozycję siedzącą, co robił raczej bez oporu zadowolony, że wszyscy uczestniczyli w jego poskromieniu. Był bardzo dobrym człowiekiem i wiele z nas zawdzięczało mu dużo ciepłych chwil spędzonych razem.

Stryjenka miała ojca, który mieszkał u nich i często jeździł z nami na słynne obozy sportowe do Wałcza. Miał wtedy dobrze po osiemdziesiątce, był wysoki, ogolony na kolano i nosił starszylacheckie, długie i opadające włosy. W ogóle to był Tatarem i przed wojną był wojewodą gdzieś na Podlasiu. Lubiliśmy jego cichą obecność wśród nas, bo lubił kibicować zarówno w grze w siatkówkę, jak i w brydża. W czasie jego pogrzebu, na którym niestety nie byłem, gdyż wyjechałem już z kraju, zdarzył się niezwykle rzadki i trochę przejmujący wypadek. W czasie opuszczania trumny do wykopanego grobu jeden z podtrzymujących ją pasów zerwał się, trumna stanęła pionowo w grobie, a odskakujące jej wieko odstąpiło pogodną postać stojącego dziadka. Podobno wrażenie było niesamowite, ale ja myślałem, że dziadek po prostu chciał raz jeszcze pożegnać się ostatecznie ze wszystkimi, którzy przyszedli na jego pogrzeb – *Requiem in pace....*